Lwów 20. Września Nr 112. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Zlr. półr. 3 Zlr. kwartal. 1 Zlr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Zlr. — półrocznie 4 Zlr. — kwartalnie 2 Zlr. m. k. Rycin y mód kwartal. 1 Zl. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i zadopłate 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

VIII.

Polowanie na szczury.

(Ciąg dalszy.)

Starosta obliczył wszystkich, a rozstawiwszy całe wojsko na wszystkie strony, aby atak mógł być zewsząd i jednocześnie rozpoczęty, kazał Krzymuskiemu zamknąć spiżarnię i klucz wziąść do siebie. Była to przezorność godna wodza, przezorność wymierzona nie naprzeciw nieprzyjaciela, ale naprzeciw własnego wojska, by żaden z walczących nie zrejterował.

Sam starosta uradowany stanął na samym środku, trzymając w ręku harapniczek, jako broń zaczepną i odporną.

— Dalejże do ataku! zawołał.

I puszczono koty i szukano dziur, zalewając je sowicie ukropem i rozkopując je coraz szerzej. Kozaki zaś i chłopcy rzucili się na podłogę, odrywając zbutwiałe deski.

Szczury zewsząd nagabywane, oblewane i parzone, zaczęły tłumnie wyskakiwać z norów swoich na plac boju.

Tu się dopiero zaczęły hece niepospolite. Szczury nie poddały się tak łatwo; rozjuszone zaczęły skakać i kąsać co się nadarzyło, co naprzód wielki sprawiło popłoch pomiędzy dziewkami, najwięcej wystawionemi na niebezpieczeństwo rozpaczliwej obrony. Lecz i mężczyźni, mianowicie księża, widząc skakającego ku oczom nieprzyjaciela, zaczęli także podskakiwać to tu to tam, co sprawiło widok szczególnie pocieszny. Mianowicie pomieszanie do najwyższego doszło stopnia, gdy każdy zaczął machać kijem; nie każdy raz bowiem dosięgnął nieprzyjaciela, ale boleśnie spoczął na grzbiecie podrygującego przyjaciela.

Starosta najszczęśliwszy nie lenił się także pomachiwać harapniczkiem w koło siebie; a trudno było wyliczyć, ile było celnych, a ile nietrafnych razów.

Wszystko to razem wzmagało zapał walczących, którzy i z potrzeby i z bolu coraz zajadlej wywijali kijami; koty rzucały się także jak wściekłe na wszystkie boki. Krzyk, harmider i rejwach był ogromny! Jakkolwiek dzielnie broniły się szczury, męztwo i rospacz uledz musiały sile i sztuce. Coraz więcej na pobojowisku padało trupów.

Zaszła pauza krótka; chwila odpoczynku. Walczący odsapywali, by się stać zdolnemi do jeszcze większych natężeń.

— Jaśnie wielmożny panie! wołał Hernek płaczliwym głosem: szczur mnie ukąsił.

— Potem się będziesz smarował! odpowiedział starosta.

— Jabym cię to szwabie posmarował! mruknął Krzymuski.

— To mała rzecz!.. rzekł ksiądz Słotwiński, chcąc się ze swoją odwagą popisać przed pryncypałem. My przecie nie damy się tak zjeść jak król Popiel.

— A to plaga! te szczury! mówił ksiądz Rafałowicz. To prawdziwa zasługa niszczyć je.

— Illustrissimus! zagadł bazylian, który lubiał z każdej korzystać sposobności; miałby w tej mierze najlepszą zabawę w Poczajowie, bo tam szczurów są miliony.

— Dalej! dalej! wołał starosta harapniczkiem zachęcając do pospiechu. A co kto zabije niech przyniesie do sali, abyśmy porachowali i poznali, kto z waściów w tej wyprawie najtęgszy.

Przebiegły Chaim, który dotąd trzymał się jak najdalej od placu bitwy, usłyszawszy te słowa, padł zaraz na prawdziwie żydowski koncept. Korzystając z zamieszania, przybliżył się do kozaka, którego połów jak uważał był najlepszy, i za talarka nabył u niego dwie nie małe osobliwości; króla szczurów i białego szczura, czyli tak zwanego albinosa. Królem zaś szczurów nazywają kilkanaście szczurów tak z sobą powiązanych, że się żadnym sposobem rozplątać nie mogą. Żyd był najszczęśliwszy, spodziewając się, że to nabycie może mu zaskarbic łaskę u pana Kaniowskiego.

Walka na nowo rozpoczęta, ciągnęła się dalej z coraz większym zapałem. Koty rzucały się i miauczały, szczury skakały, dziewki piszczały, walczące kije i maczugi padały bez ustanku, trafiając to miękkie to twarde przedmioty. Rozgardjasz był niepospolity.

Wszystko szło najlepiej, gdy nagle któryś z walczących rejterując się podobno zawadził tak niezgrabnie o beczkę jakąś, że ją wywrócił. Pękły w impecie obręcze, a że beczka była z mąką, wzniosła się nagle po nad walczącemi

fantastyczna mgła białego pyłu, pokrywając swą duszącą zasłoną wszystkie epizody tej wojny, wszystkie waleczne czyny przyjaciół i wrogów. A gdy obłok pyłu upadać zaczął, z fantastycznej mgły wystąpiło prawdziwe wojsko — duchów !... duchów białych.

Na tem zdarzeniu najgorzej wyszedł sam pan Kaniowski, który najbliżej stojąc, w mgnieniu oka z starosty stał się mielnikiem. Łatwo pojąć gniew pański, nachajka latała po powietrzu, gdyby czarna łyskawica po białej chmurze.

— A cóż to za błazen tak nieostrożny? krzyknął.

— To pewnie Iwanko! zawołał Krzymuski.

— Wygarbować mu skórę.

— Wielmożny gubernatorze, ja byłem w drugim kącie, protestował Iwanko.

— Bić w czambuł! wołał starosta otrzepując się, póki się który nie przyzna.

I Bóg wie, jak tragicznie byłaby się zakończyła ta scena, gdyby w środek niej nie był wskoczył inny epizod, który dobroczynną zrobił dywersję.

Nagle w drugim rogu najmniej mąką dosiągniętym, a więc najjaśniejszym, nowy przeraźliwy rozległ się wrzask. Była to ostatnia chwila dogorywającej walki, ostatnie podrygi szczurów, ostatnie walczących kotów natężenia. I w tej chwili kozak chcąc skaczącego w powietrze uchwycić szczura, pośliznął się i upadł, a potrącając przypadkiem niedaleko stojącą osobę, powalił ją na siebie. Snać się ta chciała zatrzymać o najbliżej stojącego księdza Kisielnickiego, lub też może przez inny jakowy wypadek, czego dla mącznej mgły dobrze zobaczyć ani też skombinować nie można było; dosyć że i ksiądz Kisielnicki runął na wierzch.

Starosta w śmiech, aż się porwał za boki.

— A winszuję wielebnemu, winszuję szczęśliwego upadku! wołał rozradowany.

I zdarzenie z beczką poszło jakoś w zapomnienie.

Już też nie było co więcej gonić i mordować; resztka niedobitków pochowała się w najskrytsze dziury. Zwycięzcy wzięli się do tryumfalnego odwrotu.

Pan starosta kiwnął na Krzymuskiego i coś przemówił, a pan Krzymuski poskoczył do przeciwległego gmachu, w którego jak wiemy podziemnych sklepieniach spoczywały mnogie, a doskonałemi trunkami napełnione beczki. Pan starosta na uczczenie zwycięztwa kazał przynieść najstarszych win i miodów, z dodatkiem roztruchanów, sławnych objętością i starożytnością swoją.

Zabierało się na pijatykę, bez której rzadko się w onych czasach obchodzono. Polacy wprawdzie nie kochali kozła w herbach swoich; instynktem snać mieli do niego ankor, że wino wynalazł. Jakoż *Kozioł*, *Zerwikaptur* mało co się rozeszli pomiędzy szlachtę; w *Półkozicu i Jelicie* pana rogacza na hełm wysadzili; a gdyby panowie Zamojscy pokusili się o mitrę, byłby i z hełmu zniknął.

Starzy to bowiem pisarze nie darmo rozpowiadają, że Noe ocalawszy z korabia, rozpuścił ptaki, zwierzęta i bydło; powracał tylko poczciwy kozioł sowicie napity i wieczorem w koszarze igrał, tryksał i skakał co niemiara. Wynalazek ten wówczas pochwycony zgubił Chama, dał powód pismu świętemu, że djabła równiało z kozłem — a nareszcie przyłożył się także — do zguby Polski, która najspokojniejszą i do zmian zbawiennych najstosowniejszą porę za obu Sasów przehulała, przepiła i przespała. I panu Kaniowskiemu nie uszła bezkarnie ulubiona jego pijatyka, która najczęściej była powodem do mnogich jego grzechów i przewinien. To też nieba nie obdarzyły go potomstwem, wiary ojców odstąpił, nie posiadł żadnego senatorskiego krzesła, które same, możnaby powiedzieć, za Potockiemi goniły, ani też przewiesił z lewego na prawy bok błękitnej orła białego wstęgi, a nawet gdy umarł, niekoniecznie chwalebną jak na takiego pana zostawił po sobie pamięć.

A więc jak mówiliśmy, nie na żarty zabierano się do pijanej ochoty. W zielonej sali zastawiono mnóstwo szklanic, pucharów i roztruchanów, obstawiwszy mchem porosłemi butelkami wina i miodu. Na widok tak rzęsistych przygotowań dreszcz zimna przejęła przytomych, bo gospodarz nie lubił folgować póki był trzeźwy, a upiwszy się, jeszcze mniej folgował. Puhary były potężne, diablego haustu wymagające; a na wszystkich prawie wyrżniętą była zgrabnie czteropolowa tarcza. W najwyższym oddziele Pilawa, a w drugim obok Leliwa Sieniawskich, w trzecim Cetnerów proporzec, w czwartym trąby i orły Radziwiłłów. Pochodziły one snać z spuścizny ojca pana Kaniowskiego.

I gdy się już wszyscy zebrali, nalewano miód i wino, jak się komu podobało. Ale trzeba było duszkiem wypić, bo tego starosta mocno przestrzegał i w przeciwnym razie kaprysował. Sam tego wieczora trzymał się miodu wiernie. In quo nati sumus!...

Gdy pierwszy już atak kieliszkowy ustał trocha, starosta obejrzał się, jakby kogo szukał, i postrzegłszy stojącego w kącie Chaima z workiem, kiwnął na niego.

— Jak ten kielich hutę opuścił, wyrzekł do niego, żaden mordiasz wcielonego Boga ust do niego nie przytulił, ale ja tobie pośle pana starosty Olchowieckiego ten wielki honor czynię, iż z niego miodu wypijesz, ale nagotuj gardła, bo dla tego go wybrałem, iż dużo trzyma... W twoje ręce.

Struchlał Chaim; zimno mu się zrobiło, ale kusa była rada. Odmówić było niebezpiecznie, a tu szło jeszcze o ważny interes dla pryncypała, a ważniejszy jeszcze dla własnej skury.

— Za zdrowie najjaśniejszego pana! wyrzekł żyd i odważnym haustem połknął miód.

— Prawda? że wyborny miodek!... powtórzemy raz jeszcze.

— Kapitał! fein!.. chwalił żyd. Ja go będę bił tyle

Ja go będę pił byle na zdrowie jaśnie wielmożnemu staroście... Ale jaśnie pan raczy może szczury porachować.

— Aha! szczury!... a pokażcie no szczury! zawołał starosta głosem, w którym przebijał już skutek starego miodu.

Przerwa ta chwilowa wszystkim do gustu przypadła. Krzymuski dał znak, by wszyscy przystępywali do obrachunku zwycięzkich łupów.

— Brawo! wybornie! powtarzał starosta, którego dobry humor ciągle się utrzymywał.

Chaima wszakże nie zapomniał.

— No a waść panie żydzie nic nie upolowałeś?...

— Z przeproszeniem Jaśnie wielmożnego pana!.. Chaim to dostał, czego żaden z myśliwych nie może się pochwalić! Pokażcie no panie Iwanku!

Iwanek posłuszny położył u nóg starosty króla szczurów i albinosa.

— Na Boga! to przedziwny żyd! Jabym chciał go mieć albo w Horodence, albo w Gołogórach, albo w Buczaczu. No a teraz do miodu!.. Ja po tobie pić nie będę.. Napijmy się z innego kielicha.

I nowy kielich wypróżnił starosta. Chaim westchnąwszy wypił za nim.

Starosta snać miał już dosyć, powstał bowiem, i powoławszy Chaima z workiem, wyszedł do karmazynowej sali. Biedny żyd drżał na całem ciele, bo stanowcza zbliżyła się chwila. Pocieszyło go trocha gdy zobaczył, że starosta przechodząc koło hebanowego stoła tak go potrącił, że omal zegara nie przewrócił. Przybliżył się więc z rozwiązanym worem do starosty, który usiadł w poręczowe krzesło, i zapalił podaną sobie lulkę z wonnym tureckim tytoniem.

Tu Chaim całą zebrał odwagę.

— Płakać mi się chce, wyrzekł, patrząc na te złoto. Co mój kochany starosta robić będzie, jak tych dukatów najoświeceńszy pan starosta do siebie weźmie. A on przepadnie na wieki, bo cała forsa gospodarstwa bez tych pieniądzów pójdzie na wiatr. Gdyby tak te pieniądze zostały u niego na nowe trzy lata, a wón by płacił dalej regularnych procentów, a przezto jaśnie oświecony pan starosta byłby zawsze wielkim i sławnym na całą Polskę starostą i panem.

Na te słowa powstał starosta; śmiertelny pot oblał żyda. Pan Potocki wyprężył pięć ogromnych palców potężnej prawicy swojej, jakby dorodnych pięć świc, i zwolna pomykając ręką coraz wyżej, nie ujął za worek, ale za długą i sędziwą brodę Chaima, a podłożywszy lewicę, zaczął niby pył z niej otrzepywać. Potem wyjąwszy z worka dwa dukaty, przypatrywał im się przez chwilę.

— Ważne widzę! ozwał się — ale przyjaźń jeszcze ważniejsza. Zezwalam na nowe trzy lata. Ale bój się Boga żydku, nie oddawaj swemu staroście pieniędzy, póki ja mu sam tej nowiny nie doniosę. Jutro pojadę do niego. a teraz dodał po chwili uśmiechając się nie bez ironii; powiedz mi jeszcze jedną rzecz. Ty poczciwy żyd!.. ty byś był Chrystusa nie dopomagał męczyć, gdybyś wtedy był przytomny.

— Gdyby ja tam był i mój starosta, a ten kiwał na mnie, aby ja tego nie robił, ja by był pewno nie dopomagał.

— Dobrze mówisz!.. weźże worek! i bądź zdrów żydzie!...

Chaim oddawszy kilka uniżonych ukłonów, wyszedł ze sali, a jak był już za bramą, gonił do miasteczka co tchu, a jak wsiadł na swój wózek, zmykał jakby się bał pogoni.

Zastawiono wieczerzę. Starosta przyszedł, ale nic nie jadł, obrócił się tylko do Krzymuskiego.

— Ja idę spać mospanie Krzymuski! zaordynuj waść na jutro cug kary, ale żeby lodowcami był zaopatrzony. I pilnuj aby przytomnym tu na niczem niezbywało. Zanotuj także, że kapitał lokowany u starosty Olchowieckiego, dla utrzymania cymentu w przyjaźni, na dalszych trzy lat zostaje w ręku jego. Gości moich duchownych zatrzymaj do powrotu, a na wyjeździe takiemi opatrz datkami, jakie są dla nich przeznaczone.

Wszyscy przytomni ruszyli z kolei, aby pożegnać starostę, mianowicie dominikanie i missyonarze, twierdząc, że muszą już wracać do swoich klasztorów.

Starosta stawiał niby opór, ale na końcu serdecznie żegnając pozwolił na wyjazd.

Pan Mikołaj Wolski przystąpił także, i objąwszy ręką kolana starosty prosił o pozwolenie wydalenia się w góry karpackie na grubego zwierza.

— A toż znowu co? zagadł starosta zdziwiony, i począł się bawić miechowskim krzyżem na szacie konfederaty. Widzę że gołe ściany za powrotem zastanę.

— Ja Illustrissime nie zabawię dłużej nad dni kilka; zdaję mi się nawet, że uprzedzę powrót jaśnie wielmożnego pana. I mam prócz tego przeczucie, że Bóg dobry dopomoże, abym przywiózł różnej a różnej zwierzynki dobrze pachnącej.

I Hernek się zbliżył, a uniżenie się skłoniwszy oświadczył, że musi na jakiś czas wyjechać. Znudzony tem wszystkiem starosta krzyknął: dobranoc! i do komnat swoich pospieszył.

Po wieczerzy poszli księża do gościnnych pokoi, lecz że było zimno w nich, zebrali się jeszcze w koło komina. Gościnny Krzymuski kazał przynieść wina i miodu, i jakoś wszystkim niebyło kuczno.

W czasie gdy jedni wychodzili, drudzy przychodzili, Rafałowicz zbliżył się do Krzymuskiego i oglądając się czy kto nie słucha, przemówił do niego z cicha:

*

— Wiesz co panie gubernatorze! mnie się jakoś nie podoba podróż tego Herneka. Po co i gdzie on jedzie. By prawdę wyznać ja się boję, czy on nie turpia cogitat, naprzeciw naszemu dobrodziejowi, któremu bodaj czy nie chce spreparować jaką nieprzyjemność.

— Niedałbym trzy grosze za to kochany księże Deodacie! odrzekł Krzymuski, że ten szwabina coś złego ma na myśli, ale dajmy teraz pokój temu, niech licho jedzie; potem prędzej się go pozbędziemy! Zły to człowiek i darmojad! dostanie on kiedyś dobre strawne na drogę... A zresztą, cóż my poradzimy; staroście ani można mówić o naszych domysłach; na najgorszy przypadek, cóż się staroście stać może; jest subditus mixtus! A jak raz będzie za kordonem, któż tam wystąpi naprzeciw Potockiemu z rygorem.

Tymczasem zabierali się już wszyscy do wychodu. Wolski przystąpił do rządcy, by się z nim pożegnać.

Bo chciałbym, rzekł, jutro wyjechać przededniem.

— Dobrej podróży waści życzę, odpowiedział Krzymuski, a nim tam się dostaniesz w góry między dziki, niedźwiedzie i jelenie, przespij się i wypocznij; może ci się tam przyśni ukochana towarzyszka ziemskiej podróży!

— A pfe! panie gubernatorze! odrzekł Wolski z uśmiechem, za cóż tak źle mi życzysz.

I wszyscy udali się do spoczynku. Nazajutrz jak wymiótł z zamku buczackiego, w którym został tylko Krzymuski, w towarzystwie księży Dyodyma i Deodata.

(D. c. n.)

PAN BÓG W GOŚCINIE.

(Legenda.)

(Dokończenie.)

Idą a idą przez lasy, góry,
Nad nimi słońce, nad nimi chmury,
Nad nimi mgły się unoszą nisko...
Idą, aż widzą że czarne psisko,
Pod rozczepionym przykute dębem
Żuje swój łańcuch i skurę jeży,
A przed nim chleba kromeczka leży;
Pies rwąc się chciałby chwycić ją zębem,
Ale jej nigdy dostać nie może,
I tylko w echa po całym borze,
Wyciem, szczekaniem, jak dzwonem bije,
I własną pianę z wściekłości pije.

Nasz wieśniak pyta co to się znaczy,
A starzec tak mu cud ten tłumaczy:

„To twój gospodarz, co za żywota,
Choć mu dorocznie w skrzynie i brogi
Słałem dostatek — zamykał wrota,
Skoro przed niemi stawał ubogi.
I mnie samego z niczem odprawił
Gdym mu w postaci starca się zjawił.
I jako widzisz, przez całe życie
Raz jeden tylko zgłodniałe dziecię
Nakarmił małą kromeczką chleba,
Ale i tego wnet pożałował...
Żaden więc dobry czyn nie przodkował,
Przed jego duszą w drodze do nieba.
Za to po śmierci w psa przemieniony,
Pragnieniem, głodem wiecznym dręczony,
Musi przed ową kromeczką chleba
Wszystkie swe ciężkie grzechy odszczekać
I strasznej sądu godziny czekać...
A ty człowiecze, żeś się odważył,
Mimo zakazu dać mi kęs chleba,
Za tom cię szczęściem na ziemi darzył,
Za to twą duszę wiodę do nieba."

I poszli dalej, w sercu wieśniaka
Była cześć wielka i wielka trwoga,
Widząc w postaci skromnej żebraka
Wiekuistego wcielenie Boga!

Idą i idą, aż po dolinie
Srebrzysto-krwawa rzeczułka płynie,
A chociaż wieśniak mimo zdumienia
Nie śmiał nic pytać gdy ją zobaczył,
Lecz przenajświętszy ojciec stworzenia
Temi mu słowy cud wytłumaczył:
„Widzisz tę rzeczkę, dobry człowiecze,
Co krwią i łzami od wieków ciecze;
Tak właśnie, kogo w ciągu żywota
Przedemną swemi oskarży łzami,
Choć jeden nędzarz, albo sierota
Albo zwiedziona zdradnie dziewica
Będzie mu z duszy lać się oczami,
Przez całą wieczność ludzka krwawica."

Idą, aż w koło wszystko się zmienia,
Kończy się ziemia, kończy się droga,
Pan Bóg w niebieskie wwiódł go sklepienia,
Gdzie Bóg go przyjął, tak jak on Boga.

Jan Prusinowski.

Miłość i cholera.

Zdarzenie prawdziwe.

(Ciąg dalszy.)

Mówiliśmy tedy, że to ranna była godzina. Panie siedziały przy kawie. Twarze ich blade przeciągnięte osmutniałe, świadczyły o przykrem usposobieniu wewnętrznem.

Dzień zaczął się jak zwykle od rozpowiadania wzajemnego snów, w których upatrywano rozmaite alluzje do cholery i wróżby przyszłości, i w których oczywiście całodzienny strach stwarzał najdziwaczniejsze obrazy.

Sny dnia tego opowiadane w przecięciu były okropne, złowrogie.

Staruszce się śniło, że żadnego pasyjansa dokończyć nie mogła, bo szambelan ciągle czegoś wybiegał, porywając się za brzuch.

Wani śnił się wysoki zamek; ale jego cudnie piękna zieloność przybierała coraz innych barw, coraz więcej żółtych, coraz więcej cholerycznych, aż nareszcie zdało się jej, że chodzi po ogromnym cmętarzu.

Wini marzyło się jakieś ogromne, ale ogromne towarzystwo, w którem nikogo nie znała. A same były twarze smutne, pokrzywione, okropne, strach wzbudzające. A jak się o kogo ze znajomych swych pytała, każda twarz innym grymasem bolu odpowiadała, suche i pokurczone do wężów podobne ku niej wyciągając palce.

A Bronci zdało się, że jest w jakimś cudownym raju pod cudownem niebem, a same tam jej z pod nóg rosły ananasy i same najcudniejsze kwiaty. Chodzi i chodzi szukając miłego Leona, i nagle na trawniku z samych szmaragdów postrzega go, jak z uśmiechem anioła, a pożerczym zapałem młodzieńca w oczach spieszy ku niej. Dreszcz ją przebiega rozkoszna i z wyciągniętemi biegnie rękoma. Aż tu nagle, choć chmury niema na niebie, sypie się śnieg. Straszny to śnieg, bo z samych długich papierków złożony. To recepty sypią się a sypią. Odważni kochankowie brną w receptowy śnieg po kostki, po kolana, aż tu nagle ożywiają się recepty i występują z nich najdziksze potwory, ziejące co chwila gradem olbrzymich pigułek: lawą aptycznego płynu, wyrzucające gdyby kamienie i skały ogromne różnych kształtów flaszki, butelki, pudełka, szczotki i inne jakieś lekarskie przybory. Darmo kochankowie walczą ostatniemi siłami. Mur niepospolity staje między niemi; w usta biją się i sypią piguły i dekokta o smakach nie ziemskiej okropności. Przestraszona dziewczyna krzyknęła przeraźliwie i zbudziła się.

Możecie państwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie ten ostatni sen zrobił na referendarzowej.

— Sen to choleryczny!... wyrzekła spuszczając głowę ku ziemi.

— Fe babciu! nie trzeba się poddawać!... pan Bóg łaskaw! ozwały się dziewczęta dzwoniąc zębami ze strachu, chociaż niby zuchów udawały.

— Wy nie wiecie moje dzieci, co to za straszna choroba ta cholera morbus!...

— Ależ my tu bezpieczne!... do nas się nie dostanie.

— Co wy wiecie!... mucha może przynieść cholerę.

— To i muchy dostają kurczów i cholerę? zapytała naiwnie Wania.

— Dla tego to tak mi popstrzyły moję siatkę! dodała jeszcze naiwniej Winia.

— Nie! one powietrze choleryczne z sobą przynieść mogą; tłumaczyła staruszka.

— Ależ babciu droga, mnie się zdaje, że to tylko mówią o morowej zarazie.

— A czyż nie słyszałaś, co nam szambelan opowiadał z gazet wczoraj. Dżuma jest już w Wiedniu, a w Czerniowcach żółta gorączka!...

— Dżuma!...

— Żółta gorączka!...

— A to okropne!... cóż my poczniemy, umrzeć przyjdzie tak młodo!... mówiły młode.

— Umrzeć w sile wieku i zdrowia!... mówiła stara,

I biedne kobiety zastraszone zaczęły płakać; a tak głośno zaszlochały, że aż przez okno ozwało się echo jeszcze płaczliwsze, jeszcze żałośniejsze.

Tem echem był szambelan, który przez ten czas nadszedł, i w przepisanem oddaleniu z wyciągniętą naprzód głową słuchał smutnej rozmowy. Szambelan jeszcze chudszy, jeszcze kościtszy, a tak blady i żółty na twarzy nad miarę przeciągniętej, jakby go już z trumny wyjęli, wyglądał jakby istne wyobrażenie cholery, zaglądającej do okien warowni.

Na głos płaczliwego echa przestraszyły się kobiety, i skoczyły z miejsc swoich.

— To szambelan! ozwała się referendarzowa uspokojona nieco: biedny szambelan! dodała rozczulając się.

— Biedna referendarzowa! odrzekł szambelan.

I omal znowu nie zapłakali. Ale przeważyła ciekawość niewieścia. (C. d. n.)

NAJNOWSZE DZIEŁA.

Dzieje powszechne zewnętrzne i wewnętrzne, ułożone na wzór roczników, kronik i właściwej historyi z dziejobrazem powszechnym przedstawiającym teatr wypadków pod względem czasu i miejsca przez Stanisława Zarańskiego prow. nauczyciela języka polskiego i jego literatury w c. k. akademii Maryi Teresy w Wiedniu. W tłoczni uniwersyteckiej L. K. Zamarskiego 1855.

Pod tym tytułem zaczęło wychodzić w tym roku we

Wiedniu dzieło, naraz w dwu językach: w polskim i niemieckim. Autorem obu wydań jest p. Stanisław Zarański, znany już jako tłumacz Dziejów powszechnych Webera i wydawca dziejobrazu do historyi polskiej. Jestto już nie mała praca, wydawać naraz dzieło w dwu językach; do tego dzieło naukowe, przeznaczone być pomocnem dla uczących i uczących się, nie małe zadanie pisać dzieło naukowe w języku obcym, a do tego w języku narodu, który dziś imponuje ogromem książek elementarnych. Może być, że ten wzgląd właśnie spowodował autora do wydania tłumaczenia niemieckiego obok polskiego oryginału, aby się dowiedzieć sądu doświadczonych pedagogów. Nie wiemy czy dotąd oceniło jakie pismo pedagogiczne niemieckie pracę p. Zarańskiego, dzienniki polskie, mianowicie krajowe nie wcale, albo przynajmniej bardzo pobiżnie, jak to „Czas” w części swej literackiej uczynił, o niej wspomniały. A przecież to praca podjęta na polu u nas dość pustem, praca bardzo rzadka, a zatem warta sumiennego rozbioru i bliższego poznania.

Wydania niemieckiego nie mamy pod ręką; jest ono, jak na okładce każdego zeszytu wyczytać można, tłumaczeniem polskiego. Zresztą polskie bliżej nas obchodzi, dla tego powiemy pokrótce o niem. Niemając pisma naukowego, w któremby rozbiory ściśle umiejętne dzieł podobnej treści umieszczać można, a nie chcąc publiczności „Nowiny” czytającej nudzić rozbiorem w najdrobniejsze szczegóły wchodzącym, ograniczamy się na ocenieniu dzieła więcej ogólnem, by tym sposobem zawiadomić przynajmniej nauczycieli, szczególniej prywatnych i nauczycielki o pracy, mogącej się bardzo przydać przy udzielaniu nauki historyi, o pracy, w spisie dzieł dydaktycznych u nas bardzo szczupłym, nie poślednie miejsce zajmującej; a czynimy to tem chętniej, że z radością witamy każdy krok na polu u nas dotąd prawie zupełnie odłogiem leżącem, a jednakowoż wartoby koło niego pochodzić, bo tym tylko sposobem podnieść można wykształcenie w kraju, zaopatrując go w dobre podręczne książki.

Dotąd wyszły cztery zeszyty dzieła p. Zarańskiego. Autor zaczął opowiadanie i rozwój dziejów od narodzenia Chrystusa; uważał epokę po Chrystusie za ważniejszą, po jej ukończeniu obrobi czasy przed Chrystusem, a w ten sposób uzupełni się cała praca. Do każdego zeszytu dodany dziejobraz wieku ułatwia chronologiczny przegląd, a krajobraz z nim połączony przedstawia terytorjalne zmiany i miejsca w texcie wymienione. Po ukończeniu całego dzieła dziejobrazy pojedyńczych wieków razem złożone stanowić będą obraz jeden, przedstawiający cały zakres dziejów powszechnych, jako środek pomocniczy do przejrzenia następstwa czasowego główniejszych zdarzeń tak w historyi zewnętrznej, jakoteż i ważniejszych zjawisk w życiu wewnętrznem narodów. Dziejobraz zatem jest tylko dodatkiem do książki, dodatkiem ułatwiającym rozpatrzenie się w chronologii, książka zaś sama jest istotą pracy.

We wstępie do dzieła wyłożył autor pogląd swój na dzieje i metody historyczne. Idąc za rozwojem historiografii dzieli ją na roczniki, kronikę i historyą, upatrując w pierwszych zawiązek opowiadania dziejów, w kronice ich «obszerniejsze w pewnym związku stojące opowiadanie«, w historyi nakoniec połączenie «wypadków według ich przyczyn i skutków, układ materyi dziejowej według artystycznych prawideł« i ujęcie „całego zakresu działalności ludzkiej nie tylko pod względem stosunków społecznych i międzynarodowych, ale nadto dzieje wyznań i obyczajów, umiejętności i umnictwa pięknego, przemysłu i handlu, wynalazków, słowem, historyą powszechną, przedstawiającą stopniowy rozwój zewnętrznego i wewnętrznego żywota ludzkości.“

Dalej wskazuje autor, jak pojedyńczym tym stopniom w wyrabianiu się historiografii odpowiadają epoki w rozwoju życia każdego człowieka, a na tym naturalnym związku obu czynników opiera naukę historyi. Dziecię słucha chętnie opowiadania. Obok powiastek działających tylko na wyobraźnią opowiedzieć mu można zdarzenie dziejowe odpowiednie jego pojęciu, a opowiadać należy sposobem najprostszym, najprzystępniejszym. Tak utkwią w umyśle dziecka pewne zdarzenia dziejowe wiążące się przeważnie do osoby najbardziej zajmującej wyobraźnią dzienną.

Zdarzenia te spoczywać będą w umyśle dziecinnym tylko obok siebie, niepołączone wewnętrznym węzłem, tak samo jak stoją obok siebie i po sobie opowiedziane w rocznikach. Jest to według zdania autora pierwszy zwrot nauki historyi, a w tym celu umieścił w książce swej naprzód „krótkie prostemi słowami opowiedziane wiadomości historyczne, naśladowane według roczników i dla lepszego rozpoznania większemi odbite czcionkami“ dając nauczycielowi tylko wskazówkę, a zostawiając mu wolność zupełną opowiadania swoim sposobem, uczniowi zaś środek do przypomnienia sobie tego, o czem nauczyciel opowiadał.

(C. d. n.)

DYARYUSZ ŻYCIA
IGNACEGO ŁOPACIŃSKIEGO.

Pisarza skarb. w K. Lit.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz nastąpił kondukt do Malatycz, a na trzeci dzień pogrzeb, na którym ksiądz przeor miał kazanie. Wyliczył cnoty nieboszczykowskie, a że nieboszczyk nie kazał siebie chować w kościele, ale na cmentarzu na tem miejscu gdzie podczas processyi kapłan zawsze żegnał lud Przenajświętszym Sakramentem: kazano więc zrobić w dole zrąb nakształt sklepiku, i tam spuszczono ciało, a na wierzchu

położono dębową deskę, z napisem od nieboszczyka podyktowanym za życia: „Tu leży Leon grzesznik, prosi o troje Pozdrowienie Anielskie.”

Po śmierci ojca naszego, pod wiosnę nadjechał brat nasz, teraźniejszy biskup żmudzki, i życzył matce mojej, aby mię do szkół oddała; po którego oddaleniu się w ćwierć roku, pan Mikołaj pojechał do Wilna jeszcze w żałobie, i rekomendowany został do dworu JW. Alexandra Sapiehy marszałka wielkiego księstwa litewskiego, mnie zaś Imość Dobrodziejka matka nie oddała zaraz do szkół, ale miała w domu dobrego nauczyciela dla mnie, niejakiegoś Kuleszewskiego, który mi dał pierwsze początki łaciny; potem oddany byłem do szkoły, alem jeszcze nie wyszedł z infimy, gdy nastąpiło interregnum, bo król August II. podczas sejmu extra ordynaryjnego umarł w Warszawie 1733 roku, i Rossyanie pod komendą niejakiego Kurosza do Mścisławia przyszli. Przed przyjściem zaś ich, fatalny tam był sejmik przedkonwokacyjny, na którym się patrzał z chóru kościoła księży Karmelitów, natenczas jeszcze drewnianego, bo nas niektórych małych studentów ksiądz Korejna prefekt zaprowadził nań i sam był z nami.

Po śmierci Lindorfa starosty mścisławskiego, otrzymał przywilej na to starostwo Felix Nikodem Ciechanowiecki starosta opeski, chorąży powiatu bracławskiego, czyli też podobno miał konsens i cessyą od Lindorfa i wyjechał na to starostwo, tudzież gród ufundował, dawszy podstarostwo Rafałowi Szpinowskiemu horodniczemu mścisławskiemu, który sprzedał czy ustąpił Floryanowi Frąckiewiczowi natenczas krajczemu mścisławskiemu; a pisarstwo Mężyńskiemu. W kilka czasów za otrzymanym przywilejem, na też starostwo wjechał Alexander Wołłowicz referendarzyc litewski, i także swój gród ufundował, dawszy podstarostwo Krzysztofowi bratu swojemu, sędztwo Świątkowskiemu, a pisarstwo Leonowi Iliniczowi. W krótkim czasie potem król umarł, za nastąpieniem więc sejmików ante-konwokacyjnych, zjechały się oba grody do Mścisławia, i obie partje bardzo licznie gdy zeszły się do kościoła, postawiono stół długi od kratek aż do ławek; po lewej stronie ołtarza wielkiego ulokowali się Wołłowiczowie z swoją partyą, po prawej zaś Ciechanowieccy; zaczęli więc między sobą certować, i z certamentów przysło do guzów.

Pan Leon Ilnicz pisarz grodu Wołłowiczowskiego, msjąc w ręku siekierę blachmalową staroświecką misternej roboty, chciał oną ciąć w łeb Szpilowskiemu podstarościemu, lecz się ten umknął: a Wołłowicz Stanisław wskoczył na stół i porwał się do szabli, a zatem obie partye nie próżnowały, ile, gdy Zawistowscy dwaj bracia, wywrócili stół na partyą Wołłowiczowską. Trwała rąbanina blizko godziny, póki księża nie wyszli cum venerabilia. Partya tedy Wołłowiczowska wymknęła się z kościoła i sejmikowała na ulicy przy karczmie, gdzie obrano posłami Jerzego Wołłowicza starostę parwińskiego i Żabę. Ciechanowieccy utrzymawszy się w kościele, tamże ze swoją partyą sejmikowali. Obrano posłów; Szpilowskiego podstarościego i Frąckiewicza sędziego, i ci potem weszli in activitate przy rugach na sejmie. W tej rąbaninie w obu partyach siła było porąbanych, najbardziej zaś byli cięci: Tołpycha, Dubiaha i Koziełł; dwóch zaś z ciężkiego porąbania wraz umarło: jeden sługa JPana Zuba, drugi szlachcic partykularny. Zapieczętowano tedy kościół z okazyi okrwawienia, zwłaszcza że pan Krzysztof Tołpycha był cięty przy samym ołtarzu, który się jego krwią oblał. Po konwokacyi nastąpiła elekcya 1733 roku; obrano in loco electorali Stanisława Leszczyńskiego, a na Pradze dnia 5 Septembris pod karczmą Grochową przy assystencyi 7000 Rossyan, obrany jest król August trzeci, syn Augusta drugiego.

Starostowie mścisławscy poszli w różne strony: Ciechanowiecki trzymał z Stanisławem, a Wołłowicz z Augustem. Między Rossyanami a między dywizyami polskiemi partyi Stanisławowskiej różne zachodziły utarczki. Co do województwa mścisławskiego należy gdziem się znajdował na ten czas, pamiętam to: iż tam pod komendą Kurosza było 4000 Rossyan, którzy nakłaniali szlachtę do zaprzysiężenia wierności królowi Augustowi. Zebrał był dywizyą Parczewski i chciał się łączyć z dywizyą Ogińskiego starosty przewalskiego, teraz kasztelana trockiego, ale ją Rossyanie w Humnach rozproszyli, gdzie i sam Parczewski został zabity. Wołłowicze jako trzymali z Rossyą, tak wzięli górę w całem województwie mścisławskiem. Szlachta przysięgać musiała przed starostą Wołłowiczem przy bytności Kurosza, dla której przysięgi przyjechała matka nasza do Mścisławia Pytał się jej Kurosz, czy ma synów: lecz Wołłowicz starosta podchwycił ją odpowiadając: ma dwóch, jeden księdzem, a drugi w szkołach, mnie mianując; JPana Mikołaja teraźniejszego starostę zostawił. Uczynił to z przyjaźni, bo pan Mikołaj był już natenczas dworzaninem króla Stanisława, a to przez takie drogi: dom JO. Książąt Sapiehów, prócz Michała Sapiehy wojewody podlaskiego, trzymał się króla Stanisława, a osobliwie Józef Sapieha marszałek litewski, natenczas ksiądz proboszcz katedry wileńskiej, który niewypowiedzianie był łaskaw na Imci księdza biskupa brata naszego natenczas kanonika wileńskiego.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* Korrespondent poznański Gazety Warszawskiej, takie zdanie daje o dzienniku *Czas*: Jedyny dziennik, mający środki po temu, *Czas*, woli zapełniać kolumny swe alokucjami do Hiszpanii i Piemontu, pisać w korrespondencjach z Paryża o koronkach cesarzowej i kołnierzu cesarza, a w korrespondencjach z Berlina o obiadach nad Notecią, lub o polowaniach w Hanowerskiem a niżeli dać swej publiczności wyobrażenie o ciekawej krainie, wśród której dni swe i z której soki swe żywotne ciągnie. Czyż zdarzyła się gdziekolwiek potworniejsza nędza przy bardziej błyszczących na pozór przyborach? Czyż

spotykamy tam kiedykolwiek zdrowy artykuł treści politycznej, zastósowany do miejscowości; sprawozdanie z piśmiennictwa galicyjskiego, krytykę zdrową i uczciwą, utwor wreszcie literatury pięknej jakkolwiek znośny? Ale za to znajdziesz wszystko to, co małpując dziennikarstwo zachodniej Europy, bez jego przymiotów, może w różne niebożątka wpoić przekonanie, że *Czas* jest na prawdę jedynym politycznym naszym dziennikiem! Są więc i artykuły wstępne na zachodni fason, są i korrespondencje z połowy Europy, są i przeglądy polityczne, są nareszcie byle tylko wyglądać z wierzchu à la *Independence* i siląc się na dowcip *Tygodniki Warszawskie*, ale żal się Boże zajrzeć w treść tego wszystkiego! Toussaint Louverture a po nim Soulouque, kopjowali doskonale, pierwszy Napoleona Igo, drugi IIIgo. Pierwszy nosił trójkątny kapelusz, tabaczkowy surdut, palone buty; drugi przyprawia wąsy, hiszpankę, płata coups d'état, robi marszałków, wypędza malkontentów, jednem słowem i jeden i drugi różnią się tylko o tyle od swego oryginału, o ile się Toussaint i Soulouque od Napoleonów, o ile się czarni od białych różnić mogą. Tak samo dzieje się u nas w świecie dziennikarskim ze sobotwórem dzienników zachodnich *Czasem*. Im kopija będzie wierniejszą, tem *Czas* będzie się stawał śmieszniejszym i tem mniej użytecznym; Soulouque im więcej będzie palił cygar i więcej spijał kawy, byle się stać podobnym Napoleonowi, tem więcej będzie zasługiwał na rolę bohatyra w komedjach teatrów niemieckich.

* **Ze Złoczowa.** I u nas, chwała Bogu, cholera już ustała. Ochłonęliśmy ze strachu, którego niemało doznaliśmy, bo i dosyć i dotkliwe ponieśliśmy straty. W nieszczęściu, powiadają, poznaje się ludzi. Świeżym i dobitnym tej prawdy dowodem i świadkiem był Złoczów podczas trwania tej słabości. I myśmy poznali się na ludziach i poznali ludzi. I tak byli i u nas, którym śmiało można było przypomnieć owe zbawienne hrabiego Radeckiego rozporządzenie, tyczące się lekarzy nie pełniących swe obowiązki!

Tem też milej jest dla każdego, na ludzkie cierpienia nieobojętnego serca, jeśli trafi się na człowieka, któregoby nazwać można: żywem, chodzącem, uosobistnionem sumieniem w pełnieniu swego obowiązku. Tem żywem i chodzącem sumieniem był u nas podczas trwania cholery pan doktor Krater, kraisfizyk złoczowski.

Sam w części już starganych sił od świtu do nocy, a raczej bez przerwy odwiedzał na cholerę zapadłych. Niebyło dla niego dnia, niebyło nocy, niebyło słoty, lub niepogody, niebyło różnicy między bogaczem a ubogim, niebyło potrzeby własnego odpoczynku i wygody; bez różnicy wyznań, bez różnicy stanu, bez różnicy owych społecznych klatek, które ludzi, jakby konie w stajni, na pewne dzielą rasy, niósł on zawsze i wszędzie ochoczo i bez materjalnych pobudek swą radę każdemu wzywającemu, swą pomoc każdemu potrzebnemu. Gdzie go tylko proszono przybywał on; prawdziwy w człowieka wcielony: *anioł pocieszyciel*. Trzeba mieć zaiste wielkie wyobrażenie o świętości przyjętego obowiązku, ażeby ciału słabemu zakazać prawie fizycznego odpoczynku, trzeba człowieka silnej woli, by moralną siłą zgnieść siłę fizyczną i odnieść zwycięstwo ducha nad materją.

Długo wahałem się nad wyjawieniem imienia tego szanownego męża, długo biłem się z myślą ażali nieubliżę jemu głosząc publicznie szlachetne jego czyny. Tyle bowiem na świecie jest chwalonych i chwalących się, tyle kadzidła żywym i umarłym spalonego, tyle podrukowano podziękowań gazeciarskich, tyle popisano nekrologów zawsze i wiecznie *„dobrym"* ludziom, tyle pobazgrano krytyk pochwalnych, tyle nareszcie narobiono w tym względzie nadużyć prasy dziennikarskiej, iż śmiało rzec można, że ten najrzetelnej zasłużył na pochwałę, którego nigdy nie chwalono i którego nazwiska zecer nigdy nie składał.

Lecz nigdy większej niewypowiedziano prawdy, jak że: nulla regula sine exceptione." Dlatego też i ja mam niepłonną nadzieję, że te kilka w najmocniejszem przekonaniu skreślonych wyrazów, znajdą przebaczenie w szlachetnym umyśle męża, którego nieproszony ośmieliłem się wyrwać ze skromnego ukrycia swego.

Przyjechali od dnia 17. do 19. Września do Lwowa.

PP. Łączyński Józef hr. z Liska. Pietrzycki Felix z Przemyśla. Domaradzki Ludwik z Kołodziejowa. Zełęski Leon z Kolbajowiec. Hausner Wincenty i Madejski Piotr z Krakowa. Karnicki Teodor hr. z Michałowiec. Fredro Edward hr. z Żółkwi. Linzbauer Edward z Tarnopola. Lityński Wenant z Litwinowa.

PP. Manasterski Józef z Błażowa. Serwatowski Wojciech z Bucyniowa. Hamer Albin z Sambora. Starzyńska Celina hr. z Krzywcza. Brunicki Józef br. z Podhorzec. Koch Ernest z Dąbrowicy. Torosiewicz Emil z Szwejkowa.

Wyjechali od dnia 17. do 19. Września ze Lwowa.

PP. Starzeński Benjamin hr. do Złoczowa. Fredro Edward hr. do Żółkwi. Bankiser do Krakowa. Dzieduszycki Edward hr. do Złoczowa.

PP. Niewiadomski Tadeusz do Kamionki. Szczepański Józef do Danilcza. Golejewski Antoni hr. do Harasymowa. Pietrzycki Felix do Stanisławowa. Bocheński Józef do Głemboczka. Jorkasch Franciszek do Stanisławowa. Schram Adolf do Krakowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 19. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	114	Pożyczka 5%	$75^{9}/_{16}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	$82^{3}/_{4}$	Akcye banku	1036
Londyn za 1 funt szterl.,	11 1	Kolej północna	2030
Medyolan za 300 lirów	$112^{1}/_{2}$	Obl. ind.	$68^{3}/_{4}$
Paryż za 300 franków .	$131^{1}/_{2}$	Nowa pożyczka z loterya	$98^{3}/_{4}$
Agio duk. ces.	$20^{1}/_{8}$	Pożyczka narodowa . .	$79^{13}/_{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówką złr.	kr.	towarem złr.	kr.
Dukat holenderski	5	21	5	25
Dukat cesarski	5	29	5	32
Półimperyał zł. rosyjski	9	11	9	15
Rubel srebrny rosyjski	1	46	1	47
Talar pruski	1	43	1	45
Polski kurant i pięciozłotówka	1	16	1	17
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	91	33	91	54
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	70	18	70	50
5 proc. pożyczka narodowa	79	30	80	30

Lwów, 19. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 38 złr. 15 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 22 złr. 30 kr. do 25 złr. — kr. Jeczmienia po — złr. — kr. do 13 złr. 45 kr. Owsa po 13 złr. — kr. do 13 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. 15 kr. do 21 złr. 50 kr. — Ziemniaków po 9 złr. 45 kr do 11 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 47 złr. — kr. do — złr. — kr. Sosnowego po 38 złr. 7 kr. do — złr. w. w. Cetnar siana 3 złr. — kr. do 3 złr. 27 kr. Centnar słomy 2 złr. 30 kr. do 2 złr. 45 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. $27^{1}/_{2}$ kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** **Z drukarni E. Winiarza.**